

OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

NR. 2.

1935.

OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

R. I. — NR. 2.

15 MAJA 1935.



KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA: OBRE CZ SŁÓW

JULJAN PRZYBOŚ: DWIE BALLADY

STEFAN NAPIERSKI: POD NOC

MIECZYŚŁAW JASTRUN: ŁÓDŹ

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI: GWIEZDNA ELEGJA

WŁODZIMIERZ PIETRZAK: NAD BRZEGAMI

JAN KOTT: POWRÓT EURYDYKI

ANTONI BOGUSŁAWSKI: PRZEKŁADY Z CHORWACKIEGO

STANISŁAW MŁODOŻENIEC: WIATER

STANISŁAW TURCZYN: WIERSZE

STEFAN SZAJDAK: WIERSZE

STANISŁAW CZERNIK: DIALOG O LIRYCE

RECENZJE

KRONIKA



REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2.

ADMINISTRACJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. ZAMKOWA 4.

DIALOG O LIRYCE

ON. Z wielkiem zainteresowaniem przeczytałem twój artykuł o stylu w liryce. Jest w znacznej części powtórzeniem myśli, zawartych w rozprawce umieszczonej przed rokiem w „Kamieniu”. Niektórzy pochopni młodzie zapaleńcy widzieli wtedy w kilku twoich sformułowaniach małe rewelacje. I ja zasadniczo zgadzam się z tobą, czemu dałem już poprzednio wyraz w druku. Ale tutaj — posunąłeś się w swojej teorii autentyzmu za daleko.

JA. Wiem, że jesteś uosobieniem szczerości. To ważne. Wymiana myśli z tobą jest zachwycającą pracą twórczą. Chodzi ci o zasadę całkowitej autentyczności treści, postawionej przeze mnie, jako kardynalny warunek wiersza lirycznego. W próbnym sformułowaniu, — „materiał treściowy w liryce nie może być surogatem, lecz odpowiednikiem rzeczywistych, pełnowartościowych przeżyć poety”, — zaznaczyłem, że uważam to za aksjomat stylowej liryki. Nie sądzę jednak, że posunąłem się za daleko. Raczej twierdzę tak nadal, bez uporu. Gotów jestem w każdej chwili do modyfikacji tej próbnej tezy, pod warunkiem, że otrzymam przekonujące argumenty. W poezji nie może być dogmatów, ale mogą być poszukiwania, badania, odkrycia pewnych naturalnych norm. Normy te niewątpliwie zawsze będą rozsadzane wyjątkami i rozjaśniane lub zaciemniane setkami interpretacji.

ON. Otóż to! Była taka rozmowa warszawska: stary lew krytyki, młody, świetny poeta i ja. Czy wiesz, co powiedział stary lew krytyki? Poprostu, że cię źle zrozumiałem. Że twoje stanowisko jest zaprzeczeniem postępu, że to, co głosisz, jest starem hasłem „szczerości”. I takby wynikało z twojego ponownego sformułowania.

JA. Zaczekaj. To mnie zmieszało. Takiego zarzutu od starego lwa krytyki nie spodziewałem się usłyszeć. Raczej spodziewałbym się pochwały, jako, że to też coś z „walki o treść”. Stary lew krytyki jest jedynym człowiekiem w naszej „okolicy”, do którego mam zaufanie, ale zawsze przerażał mnie jego „shawinizm”. Zresztą, wolę przyjąć winę na siebie. Zastanawiam się. Czemu stary lew ujrzał w moich sformułowaniach aż wstecznicstwo, gdy dla mnie jest to raczej odkrycie niewątpliwie starej prawdy, która jednak występuje — mimo wszystko — w charakterze prawdy nowej? Już wiem. Ja inaczej pojmuję lirykę niż stary lew krytyki. Ja lirykę, jak wodę źródlaną, zamykam w ściśle ocembrowanej studni, wokoło której ciągną się rozległe obszary pokrewnej, ale innej wody. Stary lew krytyki widocznie nie dostrzegł tego, i jest to moją winą, może nie zaznaczyłem tego wyraźnie. Więc zaznaczam. Wyłączam z liryki wszystko, co jest mieszaniną różnych wód. Ściślej: wyłączam wody fantastyki, co nie znaczy, bym je lekceważył. Przeciwnie, podnoszę ich wartość, uważając je za odrębność, wymagającą nowych, innych sformułowań. Stosuję taką swoistą chemję poetycką: właściwość wody badam nie według jej szumu lub barwy, lecz analizuję treść wody. Otóż to!

ON. Niech będzie! Nie wiem, co powie na to stary lew, ale wiem, co rzeknie pewien młodszy, złośliwy lew krytyki. Młodszy lew ocenia wodę liryczną nie według jakości treści, lecz według szumu. Dla niego liryka jest

szumem, on każdego zdolniejszego kataryniarza liryki mianuje wieszczem narodowym, — byle szumił według przepisu! On ci wskaże za Gaultierem, gdzie są praźródła liryki, i czyją córą jest liryka. On ci wskaże, że bez szumu nie może być mowy o lirycy, że twoja cembrowana studnia jest wyzywającym suchwalstwem twej własnej myśli. Zresztą, za dużo mówisz o wodzie. To niebezpieczne. Pamiętaj nie wspominać o rybach, bo to młodszemu lwu krytyki przypomina wyrażenie z dziecinnego pokoju: „łapać ryby we śnie”. Nic, że siebie ośmieszysz, ośmieszając ciebie! Chcesz zostać w najkrótszym czasie wieszczem narodowym, zacznij szumieć i dźwięczeć, jak puszkinowski samowar, jak briusowowska dzynga. Inaczej, strzeż się! Młody lew krytyki, uzurpując sobie głos publiczności, powie ci krótko: oddaj pień! Jakże je oddasz, gdy od nikogo nie wzięłeś. Cave ...leonem!

JA. A jednak wolę moją cembrowaną studnię. Gdy patrzę w jej wodę źródlaną, słyszę wspaniałe melodie, nawet gdy ona nie szumi. Tak! Już mam słuch. Nie potrzebuję wybijać sobie taktu na bębenku, a słyszę. Zresztą, gdy zapragnę, mogę sobie i takty wydzwaniać w trudniejszych miejscach, jak początkujący muzyk. Nie wiem, czyją córą jest liryka, nie wiem jak wyglądała w epoce kamienia łupanego. Być może, jest jeszcze w takim okresie dzieciństwa, jak to uzasadnia młodszy lew krytyki. Ale ja wierzę w rozwój, wbrew twierdzeniom starego lwa krytyki. A gdy już o tem mówimy, pozwolę mojej fantazji twierdzić, że w nieco udoskonalonem i prawdziwiej uduchowionem życiu społecznem rozwój sztuki doszedłby do stanu, który dziś wydawać się nam może nieprawdopodobieństwem. Możliwe, że żyjąc jeszcze w barbarzyństwie społecznem, pojmujemy sztukę, jak wiele innych zjawisk, taksamo jak dzikus z epoki kamienia łupanego. Ale kiedyś musimy wreszcie przekroczyć próg pierwotności. Jeżeli pragnę tego, cóż mnie mogą obchodzić przeszłe i przyszłe złośliwości krytyka.

ON. Tak. Ale odbiegamy od tematu. Włęcz wróćmy. Dalszy ciąg rozmowy warszawskiej. Ilustrowałeś swą tezę o autentyczności treści takim przykładem: „Poeta, który nie zaznał cierpienia głodu, nie potrafi napisać wiersza lirycznego na ten temat”... Jest to, jak słusznie spostrzegł młody, świetny poeta, nietrafne. Powołał się on na swoją nowelę o oceanie, w której podziwiałem niezwykle plastyczną wizję morza i statku tuż po burzy. Okazało się, że młody poeta nigdy morza nie widział, a wytłumaczył mi to w ten sposób, że morze — to właściwie tylko o wiele więcej wody, niż w widzianej rzece. Rzeczy są właściwie na świecie takie same, powtarzają się, należy je tylko stosownie do potrzeby powiększyć lub pomniejszyć. Otóż to! Zdolność psychologicznego wczuwania się w nieznaną sytuację i wysnuwanie ich z drobnych swoich doświadczeń — to warunek poetyckiego talentu. Nie trzeba głodować przez tydzień, wystarczy nie zjeść śniadania, albo odmówić sobie codziennej porcji leguminy, aby gdy się jest poetą, napisać autentyczny wiersz o głodzie...

JA. Jak dobrze, że mi o tem mówisz. Nie przewidywałem takich argumentów. A teraz widzę, że to będzie typowy materiał dyskusyjny, który znakomicie przyczynił się do poznania zagadnienia. Nie będę tej teorii bronił, natychmiast od niej odstąpię, jeżeli twoje argumenty okażą się słuszne. Już to zaznaczyłem poprzednio. Jeżeli istnieje norma autentyzmu w lirycy, możnaby ją rozpatrywać w bardzo rozległej skali, powiedzmy

matematycznie, — od minus do plus nieskończoności. Ja stoję na stanowisku maksymalizmu, ale rozumiem minimalistów. Odczuwam trudność i niewdzięczność stanowiska pierwszych, rozumiem urok i łatwość, — drugiego. I naodwrot, w pewnych sytuacjach pojmuję niebezpieczeństwa i płyciznę maksymalistów, a wczuwam się w pewnego rodzaju pionierskość minimalistów. Jestem jednak przekonany, że jeżeli chodzi o lirykę czystą, o tę — jak się rzekło — cembrowaną studnię, wykluczającą wody fantastyki, program maksymalistów jest właściwszy niż tezy minimalistów, i jak najszerze jego rozwinięcie nigdy nie będzie szkodliwe. Popieram to taką argumentacją. Oto sformułowania: 1) poeta musi opierać się na pewnym minimum doświadczeń z danego zakresu, jako na punkcie zaczepienia, 2) ten sam poeta, posiadający większy zakres doświadczeń, powinien w tej samej chwili dać lepszy utwór, 3) ten sam poeta, rozporządzający pełnią doświadczenia, powinien w danej chwili dać lepszy utwór, niż gdyby rozporządzał mniejszym lub minimalnym zakresem. Jeżeli zastosujemy w naszych rozważaniach jedność osoby i jedność czasu, pretensje maksymalistów wydadzą się oczywistościami.

ON. Tutaj konieczne przykłady. Co zrobisz z oceanem wyczarowanym z rzeki przez świętego poetę?

JA. Obawiam się, że za wiele mówimy o wodzie. Sam ostrzegales. Lecz trudno, niech będzie woda. Wiersz o morzu i burzy morskiej. Oczywiście, poecie wystarczy konieczny jednak punkt zaczepienia: przynajmniej kropla wody. Ocean jest też kroplą wody, tylko olbrzymią. Sądzę jednak, że ten sam poeta lepiej wywiąże się z zadania, gdy rozporządza szklanką wody, a jeszcze lepiej, gdy posiada doświadczenia z większego obszaru wód: rzeki, stawu, jeziora. Ale myślę, że poeta izolowany, dysponujący tylko szklanką wody, nie napisałby wiersza o oceanie, tylko o szklance wody, chociażby się nawet zdarzyło, że zamiast słowa „woda“ używałby słowa „morze“. Z punktu widzenia wielu odbiorców ten rzekomy wiersz o morzu, mógłby być uważany za autentyczny wiersz o morzu. Ale to będzie złudzenie, któremu może podlegać i sam poeta, jako odbiorca własnego wiersza. W istocie rzeczy jednak rzekomy wiersz o morzu pozostanie tylko lirycznym wierszem o szklance wody, o ile poeta nie wprowadził do niego momentów najzupełniej postronnych, albo — jeżeli zaszała taka okoliczność, — będzie typowym wierszem fantastycznym o podłożu lirycznym. Nie potępiam takich wierszy. Ale, jako odmienny rodzaj poezji, rządzą się one trochę innymi prawami, niż liryka, i innych wymagają sprawdzianów. Poeta niezolowany, — pisząc wiersz o morzu, — wpatrzony w swą szklankę wody, pomaga sobie materiałem zaczerpniętym z drugiej ręki. W mózgu jego odbywa się mobilizacja wiadomości o morzu, wziętych z książek, z malarstwa, z kina. Według mnie, jest to surogat, materiał zastępczy, który, dobrze użyty, może oczywiście przynieść ciekawe utwory, ale ten materiał wystarczy chyba tylko na stronę opisową lub narracyjną, — moment psychologiczny, będący głównym rdzeniem wiersza lirycznego, pozostanie pod grubym znakiem zapytania. Będzie to bądź co bądź namiastka, która w niejednym wypadku może zastąpić rzecz prawdziwą dla pewnych kategorii odbiorców, ale wreszcie przyjdzie prawdziwy odbiorca i zdyskredytuje namiastkę. Być może, nowela o oceanie niejed-

nemu czytelnikowi może się wydać prawdziwym opisem morza, zwłaszcza jeżeli czytelnik też nie ma pojęcia właściwego o morzu, jak i autor. Ale to nie może być argumentem. Miarą będzie wrażenie wnikliwego czytelnika, który orjentuje się w sprawach oceanicznych. Miarą jest też stosunek autora do rzeczy. Ten jednak przyznaje się, że pisał właściwie o rzece. Jeżeli chodzi o rzeczy wodne, zmiana semantyki może być mniej podpadająca, łatwiej zatuszowana. Gorzej jest z głodem. Nie, nie zgodzę się z argumentem, że ten kto odczuwa brak w swym żołądku zwyczajnej porcji leguminy, zdolny jest na tej podstawie poznać całą mękę głodu. Nie, to nie byłby wiersz o głodzie, tylko wiersz o sytości, której zabrakło do pełni kilku łyżeczek pożądanego specjału.

ON. Nie przesądzasz jednak, że poeta - minimalista może napisać dobry wiersz. O ile posiada zdolności rekonstruktorskie, z jednego pyłu odbuduje całość.

JA. Nie przesądzam. Ale upieram się dalej — nie w liryce. Z jednego pyłu odbudować całość! I w dodatku całość nieznaną. Taki genialny zmysł rekonstruktorski byłby cudem. Zostawmy to, jako wyjątek, dla poety-genjusza, zjawiającego się raz na tysiąclecie. Ja myślę raczej o poetach przeciętnych. Ich rekonstrukcje liryczne zapewne graniczyłyby z karykaturą. Jeden pyłek! Drobniotka sadza płynąca w powietrzu i dyszący komin mogą mi przynieść wizję wulkanu, mogę się czuć przez moment zasypywany tym pyłem, może mi się zdawać przez chwilę, że umieram jak Pliniusz u podnóża Wezuwjusza. A jednak mój wiersz pozostaje dla mnie wierszem o dymiącym kominie. A jeżeli tak jest dla mnie, czemu miałbym odbiorcę wiersza świadomie wprowadzać w błąd? Być może, stary lew krytyki znowu powie, że jest to stare hasło szczerości i zaprzeczenie postępu. Trudno. Nie wiem, co stary lew rozumie pod słowem „postęp”. Dla mnie, jako poety, postępem będzie, gdy nauczę się unikać błędów podczas pisania wiersza. Błąd nie jest postępem ani ozdobą, nawet gdy wynika z nieświadomości. Nie, proszę mnie nie namawiać, bym, znając tyle oczu ludzkich i zwierzęcych, pisał wiersz o oczach jaguara, jak to uczynił niedawno pewien nasz młody poeta. Proszę mnie nie namawiać w imię postępu, bym, znając zapachy rozlicznych kwiatów, pisał wiersz o woni... anemonów, jak to zdarzyło się Błokowi. Ale obawiam się, że za wiele mówię. Czy ta porcja argumentów i argumencików wystarczy?

ON. Sądzę, że nie. Jutro przedstawię ci moje przeciwargumenty. Może to będą pociski ciężkiego kalibru.

JA. Doskonale. Niech będzie gra argumentów. To jest wspaniała muzyka. Gra z tobą jest satysfakcją. Nie plujesz, nie wydzielasz trujących gazów, nie używasz jadowitych strzał, nie slegasz po rewolwer. Ty wogóle jesteś jakby nietutejszy. Cieszę się, że mogłem z tobą porozmawiać o poezji.

STANISŁAW CZERNIK.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

O B R Ę C Z S Ł O W

Wiersze, łzy, które są na pokaz.
Wiersze, łzy, których nikt nie otarł,
wyplakane przecie tylko poto . . .

. . . Poco ? !

. . . Żeby żadne nie widziało oko
walki skrzydeł z owadziłą niemocą,
walki płaza z tęsknotą.

Poco ? !

Żeby skrzydłem, które tnę i świszczę,
nawet płaza ni owadu nie zniszczyć,
ale wznieść go, ale porwać . . . Ale błyszczyć
wierszem, łzami, które są na pokaz,
wierszem, który płazom jest niemocą,
wyplakaną łzami — żeby błyszczyć,
wyplakaną przecie tylko poto !

JULJAN PRZYBOS

DWIE BALLADY

O G R O S Z

Mieszczka — milej :

— Nie targuj się, gospodarzu, nie narzekaj,
nim ci kura zagdaczę, że : na sól,
węże, ile . . .

(Spod spadzistego lasu zniosło się nad rzekę
letnisko : białe jaje upału.)

— Mało, pani, o mało . . .

Chciał z niej strząsnąć jeszcze jedną grosinę.

(Grosinę ? Słońce, dokąd dojrzeć roztrzęsłone na rzesach, aż po pole, skąd:
okamgnienie — osłna!)

4 PIĘTRA

1.

I
z dwóch stron naraz
drzwi:
„Dziadom wara!”
na zawiasach,
nie,
na pyskaczach — szeroko odwrzały.

Z domokrażcom wstępem wzbronionym spłoszone windy uciekały wgórę...

2.

— Tam, na pierwszym, nie drzwi — stół z nakryciem...
Wyżej!

— Tam, na trzecim, w drzwiach tłuszc anieli...
Węziej...

— Tam, na czwartym — —

Błysk sygnetem...

Łbem przez okno,
wdół, w podwórze!

...jakby palcem wskazującym strzelił!

3.

Ze wstępem, wzbronionym domokrażcom, spłoszone windy przepadały
i wąż schodów dusił w skrętach, wyżej — węziej... [wgórze

Murem.
Wysoko.

STEFAN NAPIERSKI

P O D N O C

Na wiatru strumień kładę strzałę, tę lupinę.
Patrz, śladem bezcielesnym w kręgi się rozplywa.
Dygoce warga moja, jak zdarta cięciwa,
I, złożony po brzegach, jako obłok ginę.

Wtedy podchodzisz, nocy, patrzysz, niewidząca,
Jak z dłoni wyprężonych znów płynie muzyka.
W gładkich piersiach zadrżała? Czy palce grot trąca?
— Już źrenice odrębne oglądają Muzy.

Mam czoło odrzucone i twarz śnieżno - białą.
Nad głową rozlupaną cień świecy przyklęka.
Przez przeguby napięte cudze gada ciało,
Gdy grot drga nieruchomy, ku księżycom pęka.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

GWIEZDNA ELEGJA

Rzecz dziwna — błądzić nad brzegami Arno
i marmurów katedry pieścić biel i róż,
smagłych dziewcząt na placach wypatrywać oczy,
a najżywiej wspominać czarny nieba tusz,
który mię tamtej nocy gwiazdzistej ogarnął,
gdym uliczką florencką w samotności kroczył.

Za 20 centymów
można spojrzeć w szkła
celującej w przestwory lunety.
Za 20 centymów
w nieskończoność jazda
i łza
trzydziestoletniego poety,
gdy przez teleskop zobaczył
lat chłopięcych gwiazdę.

To nie nocy tokańskiej rozpachniona róża,
to nie szronem siwizny przyprószona skroń:
rodzinne miasto zwolna w mgłę wieczornej znika,
na Górcę chłopca wzruszonego dłoń
na lunecie rozsuniętej leży
i oko tropi sierp planety wgórze —
gwiazdy sterników,
pasterzy.

Bo wtedy już Flammarion myśli moje skradł
i wypatrywać gwiazdy było zwykłą manją.
Dla mnie ożył tak samo skrzydlaty posążek
i za rękę
wiodła mię muza mych dwunastu lat —
Uranja.

Porywała mię z sobą wtedy gwiazd zawieja,
mały astronom,
ciśnięty w niebo oczu katapultą,
drząc szukałem komety Halley'a,
grożącej ziemi świetlistym ogonem.
W sercu chłopca budziły się zamierzchłe kulty:
Egipt — Chaldeja.

Zwłaszcza księżyc —
na otchłaniach niebieskich żeglujący prom, —
ten największe czarnoksiężstwa wszczynął:
zdawało się, wystarczy
tylko mocniej,
mocniej wzrok natężyć
(ach, pocziwa lornetka matczyna!)
i wnet na jasnej pomarszczonej tarczy
wyrośnie selenitów dom.

Nie wiedziałem, że świat ten
już się dla mnie dopala,
dogasa,
że wszystkie oczy gwiazd się zamkną wnet
i zapachną egzotycznym kwiatem
gwiazdy oczu księżniczek Dumasa.
Nie wiedziałem, że stacza się jutrzienka biała,
przewodniczka sterników, pasterzy,
i że księżyc zamieni się w miłosny flet,
że Venus z nieba zstąpi na ziemię zuchwała,
każąc sercu inaczej uderzać.

Szukam chwil tych — przysypał je wypadków gruz,
gwiazdy były cieplejsze i słodsze,
nawet zdały się inaczej mrugać,
jak inaczej dziś w skroniach błą pulsu młotki,
kiedy w niebo zatopi się księżyc ostrze
lub kiedy Drogi Mlecznej je opasze smuga
i z konstelacyj tchnie śmiertelny mróz.

Rozpłyną się zamki, krujące czoła w chmurach...
Szekspir.

O włosennej obławie na szczury
Sfrunął plakat, zatęczył się ściek.
Na Widzewskiej mur Manufaktury
Opadł opył bawełny jak śnleg.

Zaułkami wzdłuż rudych kamienic
Zmierch zakrada się chytkiem jak szcur;
Fioletowy, fabryczny arszenik
Będą łykać bure stada chmur.

Skok — na prawo. I — wpoprzek uliczka.
Bal latarni gazowej o krok,
Gdzie za kratą ogrodu wrydarz,
Smutny gotyk fabryczny jak grot.

Kolumnada pałacu. Półkole
Schodów. Wyspa? kulisy czy sen?
I, z farbiarni wylewa się fiolet.
Rynsztok zbrodnię i noc toczy dnem.

Tędy mogłaby zejść bezszelestnie
Lady Makbet. Tu jeszcze schnie krew.
Dym podpełźnie, w szczelinach wiatr westchnie,
Bruk zaszumi pod stopą jak step —

Tutaj mógłby, w teatrze lichwiarzy,
Na ostatniej kondygnacji prób
Stanąć Szekspir, i cień swojej twarzy
Rzucić w okna syplalni, jak w grób.

Głuche tumby rodziny książęcej.
Weksel z żyrem na życie i śmierć.
Ale niżej w mrowiącej się męce
Żywa Łódź zacisnęła się w pięść.

Kasze kamień uliczny, gruźlica,
Tynk się sypie, dym pełźnie jak mór.
Na kominach, na basztach — chłodnicach
Widma zamków, szafotów czy gór?

Nlemo chwieją się cienie na płotach
Pobielanych. I światło nawprost,
Gdzie w gorącej przędzalni robota
Snuje pasmo bezsenne jak los.

Czarne lato w kotłowni. Maszyny.
Huczy bąków stalowy rój.
To twój Beethoven — czarna Turbino!
To, podziemna Łodzi, koncert twój!

Jutro? Cała ku jutru, jak zorza,
Czarna zorza — Ty jarzmo i łuk!
I znów wyją syreny na pożar
I znów dudnią transporty o bruk.

JAN KOTT

POWRÓT EURYDYKI

Jak ćmy potracasz skrzydłami o przestrach,
— nocą, kołysaną na łbach kosmatych świerków do miękkiego snu,
krzycząc, biegłem do ciebie w wierszach,
aż do kresu ciemności, do zatury tchu.

Eurydyko — samotni chłopcy śną z otwartymi oczami,
aż przyjdzie zbawić ich ranek twojem imieniem na ustach,
bredzą wieczorem w gorączce, boją się zasnąć sami,
chęć w rękach zamknąć ciebie — przestrzeń pustą.

Eurydyko — w dzieciństwie drzałem słysząc twój krok,
przepaliłaś już wtedy mi wargi do wewnątrz.
Orfeusz śpiewak twych nocy podniósł wzrok,
miał cię i stracił na wieczność.

Poco mnie wołasz, rozrywasz dzeń jak wiersz,
w przedwiośniu próżno się targam, jak wielkie ryby w sieci,
przecież jeszcze o pałki bezlistnych wierzb
uderzają śnieżne zamiecie.

Przyjdź, Eurydyko, wybaw mnie i zgub!
Skróć noc gonitwą ust i ramion!
W śniegu krokusy trysną ci spod stóp
W śmiertelnej ucieczce — rano.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

NAD BRZEGAMI

1. Dziś na białym nowiu
łodzie na staw wypłyną słowiki
w łozach majem pachnące łowić

jeśli w godzinie przed zmierzchem z połowu
powrócisz z ustami słodszeimi od pieśni

przyjdź —

jak skrzydła jętek lekki odchyliłś muślin
powieki opadną i usta usną
na udach rozlana barwa oliwek
w palcach na sobie trzymam ten tylko szal
pomyśl
niebo usypia —

2. Chylący się dzień wodą szumiał jak muszla
kiedy słuchasz
morza białego śpiewa napływ odległy

gasły rynny cedzące noc

w mrokach napad ust i alarm serca!
biło niebo
na bosych wargach wzwyż biegleś
płonący bohater —
kołysał wihrem jak drzewem
śpiew.

Połamać słowa jak maszty pod płótnem
obmokłem — ciężkie trzeszczące
gdy świat się zapadał w porywisty wir
gwiazdy zdzierać było trudno
lepiej o wiele przy tobie
żyć
uchyl dłoń
liść
gdybys była inna nie ścichałby nam chmurami
dzień jak orzech w kołysce puchu

a potem długo —

Z NAJNOWSZEJ LIRYKI CHORWACKIEJ
PRZEKŁADY ANTONIEGO BOGUSŁAWSKIEGO

MIROSLAV KRLEŽA

ŚMIERĆ PTAKA

Życie — to ciepło ciała,
skrzydeł rozwicie.
Powstaje w sercu
tętnicy bicie.

Miękko ciepłe ciało
po krzywej złata.
Cwierknięcie dzioba
— i koniec świata.

Ptāk martwy w cieniu —
droga borsuka.
Po uschłym głogu
drzenie się błąka.

Przejrzystą ręką wiatru
zapach uniesion
martwego ptaka
we wczesną jesień.

MARSZAŁEK KUROKI POKAZUJE MIĘDZYNARODOWYM ATTACHÉS
PRZY SWOIM SZTABIE POBOJOWISKO POD LAO-JANGIEM,
NOCĄ Z DRUGIEGO NA TRZECI WRZEŚNIA ROKU 1931,
PRZY KSIĘŻYCOWEJ PEŁNI

W miesiąca blasku — fala pszenicy;
bucha krew z błonek ocznej źrenicy.

Pośród zbóż — ścierwo i mięsa masa;
z głodnem warczeniem pies się opasa.

Gdy psy się dławią ludzkimi kośćmi,
Żółty Marszałek ze swymi gośćmi

przy Lao-Jangu omawia płytwi
w miesiąca blasku triumf swej bitwy

W oddali — pożar, palba, tumulty;
Marszałek marszczy się, jak kot żółty.

Dźwiękają cicho jego ostrogi,
a służba nosi kawior, ostrygi,

szampana, whisky i sok małmazji...
Dzwonią kielichy: cześć młodej Azji!

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

FINAŁ AKTU I-EGO Z WIDOWISKA

W 3-ECH AKTACH Z PROLOGIEM p.t.:

WIATER

(Wyjaśnienie: Wydarzenia I-ego aktu rozgrywały się w trzech kłitkach, ustawionych w głębi sceny, i na proscenjum. W zasłoniętej teraz kłitce Dziedzica znajduje się młodzież wiejska, która tam wpadła upominać się o zaległą placę. W środkowej kłitce Pachciarza - Srula popijają za zasłoną starzy chłopcy z Lichotem, wyznaczonym przez górę kandydatem na wójta. Zasłonięta też jest trzecia kłitka, gdzie się znajduje Plebana).

Na proscenjum wbiega pastuch - Kłacok

Kłacok: O mój Boże... nima go!
Jo do wody jego gnoł,
a un ucik... Kaj un? Gdzie?
Kaz ten cłołuś tero je?
Zyd kozali, zebym pas —
zadar ogón, ucik w las...
Chlapnon wodo, błotem smyrk
i zapcdzioł my sie byk...
Bedzie obiod!... bede mioł!..

(Naraz przestraszony: przed nim stanął oberwaniec — Głupi Duda)

Oioboga! Co za dziód?
O mój Jezul...

(chce uciekać)

Głupi Duda (potrzęsając kijem):

Tyżeś cyj?...
Nie uciekoj! — widzis kij?!
Stój, ci koze...

Kłacok: Jezdem swój —
i zydoski... Zyd — ten Srul!
Tata zydóm słuzo tyz,
mamie z zydów takze zysk...
My — zydoskiel!..

Gł. Duda: Pocirz znos?
Mów tu za mno, bozem ksiódz:
w imle Ojca... ró b ten krzyz...
W imie... W imie...
[Przemów: Chryst!
W imię Chrysta wypłuń zło,
wypłuń śline i złap głos!..
Tam ci w gebie siedzi błies!..
Chodź do wody!... Chodź na

[chrzest!..

Kłacok: Jo nie winien... Winien byk..
Zyd kozali... jozem był!..

Gł. Duda: Chodź do wody!... Wode pij -
wodo nachrze...
(Kłacok wyrzywa się)

Wierzys w kij?!..

Kłacok: Ajno... ajno... wierze juz..
Zyd me bijo — mom tu guz!
Z kija rośnie...

Gł. Duda: Zyda ciś!
Jo ci koze za mno iść —
jezdem — cysorz! Berło mom —
(pokazuje na 3 kłitki)
pod tronemy — tu mój tron!..
Wstury strony kraje kraj —
kromke chleba dajo kaj...
Jezdem cysorz w budach stu —
kromke chleba mom na stół...
Wszystkie doły lo mnie so,
wszystko błoto, kozdy koł —
wszystek oset rośnie my,
wszystkie lo mnie łazo wsy...
Mom mendole... Tyła dziur!
Jezdem cysorz — Jędrzyj - król!..
Dom ci mendol, dodóm dwa,
bedzies u mnie wsy my pas...
Na mój rozkoz bedzies gnoł,
na mój rozkoz zgarioł w dom,
na mój rozkoz dajoł pić —
na mój rozkoz mozes bić...

(Odkłada kij i grzebie w zanadrzu)

O! o! o! o! Widzis jo!
Buch do wody! Ho! ho! ho!
Widzis pływó... pływie tam
i nóżkami klap... klap... klap..

(Kłacok podjął jego kij i przygląda mu się, zerkając na Dudę.)

Gł. Duda nagle przeraził się i począł bla-
galnie krzyzczeć):

Oj! Oj! Nie bij!... Jo juz nic..
Oj, zabije!... Ni mom plic..
Boli!... Boli!..

(Wtem rozsuwa się kurtynka w kłitre
Plebana)

Plebana: Co za krzyk?
Djabel drze się? Czy katolik?
Kogo biją? Kogo holi?...?

Kłacok (zdejmuje kaszkiecinę, a kij
oddaje Głupiemu Dudzie)

(placzkliwie) Mnie do lasu ucik byk..
Zyd nie dadzo — ni mom jeść..
Tata z mamó pošli gdzieś..

My — zydoskie!... Piąco zyd —
Wódke dajo za nas wstyđ,
a un uciek, smyrnon w las..

Plebana: To ty, smarku, tu mi wrzask?!...
Ja myślałem: czyjaś kolej,
umarł któryś mi katolik, —
on mi z bykiem!.. tu mi wlaź!..
(postrzega Gł. Dudę)
Kto tam stoi ten u licha?!...

Gł. Duda (zbliża się z wzniesionym kijem):
Jezdem cysorz, wielgi ksiodz!..
Wierze w kase, co je w michach,
a ty wierzys?... Powidz — w co?!
Na kraj świata cynie krzyz —
mówie pocirz, te mnle słys!
A ty pocirz — to ty znos?!..
W imie Ojca... mów na głos!
W imie Chrysta... śline bierz!
W imie kija... z kija krzest...

(Machając kijem, wpada do klitki za uciekającym Plebanem, gdzie zastygają obydwaj w niemym ruchu. Odsuwają się kurtynki od klitek Pachciarza i Dziedzica. Sruł stoi na szynkwasio, otoczonym gromadą starych chłopów. Dzie dz i c leży pod stołem — tak, że widać tylko jego przestraszoną twarz. Z boków i stylu za stołem młodzież, która tam wpadła wypytuje pokojówkę)

Józek: Kaj je dziedzic?

Głosy: Mówić chceni!..

Pokojówka: Pon wyjechał razem [z psem...

Maryna: Chcielim mówić!

Głosy: Kaj je pon?...

Pokojówka: W domu nima! Moze [wpod

do stolicy... Burke wzion
i pojechał razem z psem...

Głosy: Chcielim mówić!

Dziedzic (pod stołem krztusi się):
Hem! hem! hem!

(Ruch gwałtowny, rzucają się z czem kto ma ku niemu, ale zastygają wszyscy nad nim w niemym ruchu).

Sruł: Śiaj! śiaj! śiaj!
Chłopy, śiaj..

Duda: W imie...
(urywa)

(Wszyscy ucichli, oniemieli. Kłacok bojaźliwie się rozgląda, żegna się i ucieka. Zza klitki Dziedzica wyszła Julka na przód sceny)

Julka (przed siebie):
W oczach mąt —
ciemno, ciemno...
Świat się wzion —
już sie wali,
rwie pode mno...
Wszystka siła
sie zbiesiła —
gniewem palić
grozi nom...
Kaj te ocy
my ustawić?
Co oboczyć?
Jak sie zbawić?
Kaj na świecie
cichy dom,
jak nie świeci
słonko nom?!

(Przesłania ocy ręką i wpatruje się przed siebie, przechylna ku przodowi)

Co sie? Co sie
tam podnosi?
Kary ogier —
wielgi chwost...
W ślipiach — ogień...
Wpod na most!..

Tam od kraju
tupot nóg..
Most sie zajon —
trzask i huk...

Trzask po ziemi —
z góry głos...
Wśród płomieni
stał most...
Głowa w ogniach —
w głowie ból!..

(ślania się)

(Stach, który wpatrywał się w Julkę i wodził oczami za jej patrzeniem, przypadł do niej i podtrzymuje ją.

Gromady we wszystkich klitkach poruszyły się jakby i znowu zastygły w niemym ruchu).

Stach: Wiatr z pochodnią,
Boże mój!..
Wiatr wylecił —
widzis? — o!
Tyła świateł —
leci wiatr...
Z wiatrem leci
ten nas ptok!

(Wszyscy wpatrzyli w górę, podnosząc ręce)
Głosy (jedne radosne, inne trwożliwe)

O!

O!

O!..

(Kurtyna)

KOLUMNA DEBJUTÓW

Wiersze Stanisława Turczyna wyrosły ze wskazań zreformowanej awangardy, zwłaszcza w zakresie formalnym. Odnaczają się wypracowaną dekoracją wnętrza, przyczem autor nie nadużywa metafor, raczej działa półtrymem lub wprowadzeniem świeższego wyrazu. Jak większość utworów awangardy, są to przeważnie wiersze — dla oka. Ale rytmika ich też jest niewątpliwa, chociaż nie narzuca się słuchowi. Trzeba ją raczej odnaleźć. Zresztą możnaby nieraz postawić znak zapytania nad właściwościami formy. Natomiast autentyczność treści tych wierszy jest bezsporna. Wiersze Turczyna posiadają właśnie tę „niezbędność“, bez której nie mogłaby istnieć liryka. Ten autentyczność treści decyduje o społecznym charakterze liryki Turczyna, nawet w wierszach krajobrazowych. Pewna skłonność do rozlewności nie należy do cech dodatkowych.

Stefan Szajdak jeszcze przed rokiem pisywał najpospolitsze sonety o zbójcach regionalnych i nieodpowiedzialne czterowierszydła. Dziś młody poeta z zapamiętaniem neofity uprawia autentyczność poetycki. Dziś treść organizuje z niezwykłą ostrożnością, czuwając by nie przedarło się do wiersza ani jedno słowo, za które nie mógłby ponieść całkowitej odpowiedzialności. Unika wszelkiej sztuczności. W obawie przed nią nie stosuje metafor. W obawie przed surogatem stroni od rymu. Mało. Szajdak pragnie wyrwać z nicności naturalną formę dla każdego wiersza. Dąży do autentyczności formy. Umie spojrzeć krytycznie za siebie i pragnie żyć twórczo. Jego wiersze są próbami wyłamania się z hezastyłowego chaosu. Szajdak uczy się pisać stylowo. Mężnie, z zaparciem się siebie odrzucił wszystko, co dotychczas uważał za konieczne w poezji, i zaczął od początku. Najprostszymi, a'e prawdziwymi środkami, dochodzi do uzewnętrznienia swej samorodnej poezji.

STANISŁAW TURCZYN

POŁUDNIE

Na wsi cicho — jak msza.
Słońce w ogrodzie łuska słoneczniki.
W ogródku przy oknie posnęły kolory.
Nad sennym ugiem
pasą się owce na błękitach.

Pod stertą chrapie wytchnienie.

Południe
nie utrzyma pionu:
z wali się wszystko
pod obuchem słońca.

Czyjś głos zakwitł w oknie:
obiad.
Zgrzał się posiłek
przy dymiącej misie.

Deszczu nie będzie;
chmury pójda bokiem —
żniwa leżą na polu,
nie mogą przecież zmoknąć.

KIEDYS SZCZĘSCIE

Gdy się w słońce wygiął
biały łuk południa,
strumieniem na wieś cisza
opada plonowo.

Może dzień wczorajszy
u nas zanocował,
wspiewany w mowę pól: sierpniowe święto pszenic.
Pękają w słońcu słowa: złotopszenne kłosy.
Żniwa.
Chrzęst po polach sierpów.

W ciszy
czas się kołysze
w płonach smukłych topól.
U źródła wodę przyszli tu żniwiarze czerpać.
Upał:
rozhuśtana płachta
wznieca pożar snopów
gorącym dotykiem.

Żniwa nie mogły zmoknąć:
dzień, na słupach dach stał.
Dlatego deszczu nie było.
Dlatego sierpy chrzęszczą
zdrowo.
Dziewczyzna pieśń nuciła.
Wieczór kładł się w usta: dojrzały owoc. —

Dojrzałe szczęście.

DZIECIŃSTWO

Me mgłe krajobrazy jak płacz
opuchły —
i jak tragicznie kwitną ócz moich świegocące jabłka,
gorzkie jak żniwa,
które kiedyś nie wybuchły.

Jesienią
nad dachami
grzmi wiatr.

Już jest popiołem zużytym dni zużel.
Oczy bolą od płaczu i od dróg dalekich kurzu.
Dnie, upalne jak lata, urodzajne jak lata,
któż was we mnie tak spienił i tragicznie zagmatwał?
Lata, gorące lata, pragnieniem spalony węgiel,
nigdy was nie objął ócz moich cichym widnokrzęgiem!

Tędy przeszły dymy pastuszych ognisk.
Tu się stały rzeczy już na zawsze ważne:
dom stał koło drogi, —
choć rzeczy już się tak nie nazywają.
Ale to był czas żniw.
Świat był duży jak niebo
a było tylko dwóch nas.

Teraz jesień i we mgle puchną
krajobrazy —
we mgle białej i wlotkiej jak zamieć.
— Jutro nas wyzwoli czas znów
i znów będziemy sami.

STEFAN SZAJDAK

C H C Ę

Chcę więcej znaczyć niż dotąd.

Chcę —
w sobie odszukać siebie,
w podglebiu złoto.

Chcę wyjść poza dawne podwórko,
podwórko grzeszne,
by ciebie wierszem podeprzeć,
Ojczyzno!

M Ó J S T Ó Ł

Mam taki stół:
dość wysoki,
prostokątny,
lekko szary.

Jest bardzo dobry:
pozwała ciężkie dzieła rozłożyć,
rosnąć księżkom wzwyż, —
i długo pisać w nocy.

Stół jest moim portretem.

WOŁYŃSKI LAS

Gdy mnie nie było,
i was nie było,
rósł wołyński las.

Drzewa
lesiły się bezkresnie,
pachnąc żywicznie i leśnie.

Ramiona
kładały na barki,
na szyję,
na biodra,
(dzieci tak kładą w zabawach)
i śpiewały słowiańską pieśń.

Czas
rozłupał gęsty las,
gęstą treść.

RECENZJE

ANTONI SŁONIMSKI. OKNO BEZ KRAT. Poezje. Warszawa 1935. Towarzystwo Wydawnicze „Rój”. Str. 69 i 3 nl.

Próba bezstronnego ustosunkowania się do „Okna bez krat” jest trudna. Można by chwalić t. zw. dyscyplinę klasyczną tych wierszy, gdyby to określenie nie budziło zastrzeżeń. Zbyt często pozostaje wrażenie, że ta „dyscyplina” jest wyrazem swoistego passeizmu. Sądzę, że dyscyplina klasyczna wtedy posiada charakter spiżowy, gdy powstaje, jako konieczny wyraz agresywności artystycznej, nabiera natomiast cech pseudoklasycznych, gdy jest oznaką pewnych rezygnacji. Już ta właściwość, że niektóre wiersze Słonimskiego posiadają jakiś podźwięk mickiewiczowski, wskazuje raczej na ich pseudoklasyczność. Według mego zdania, „Okno bez krat” oznacza pewne rysy w dyscyplinie artystycznej Słonimskiego. Takie rysy widziałbym właśnie w tych „podźwiękach”, niekoniecznie zresztą mickiewiczowskich. Czasem te podźwięki układają się w rodzaj mozaiki, jak widzimy npr. w wierszu wstępnym „Odwiedziny poety”. Zaczyna się niemal po lenartowiczowsku, przechodzi jakby w puszkiniowską balladowość, w typową młodopolszczyznę — ciemna noc, chmurne niebo, wędrowiec, trudna droga, błądzenie bez światła, — wreszcie dopiero polnta ma smak skamandrycki, przypominający dawnego „Henryka bladego i jego wino reńskie”. Choćby taki rezygnacyjny ton przerywany jest często ostrą treścią, zostaje on jednak jako najcharakterystyczniejszy motyw tomu. Wiersze o tematyce egzotycznej są prawdziwie piękne, widać w nich — jak się to mówi — pazur lwa. A inna rzecz, że w Londynie „brytyjski lew” nie czuł się w takiej wienie poetyckiej, jak w Moskwie. To też wiersze moskiewskie, zwłaszcza „Rozmowa z komsomółką”, przedewszystkiem zostają w pamięci. Trzeba stwierdzić, że wiersze o charakterze publicystycznym, npr. „Palenie zboża” lub „jarmark rymów” w postaci „Dokumentu epoki”, nie należą do ozdób tomu. Najmniej zaś „Bajka” („Perska królewna Peri o oczach z kobaltu”) w stylu Kosińskiej - Małcużyńskiej lub Tomczyk - Gordziałkowskiej, jakby powiedział sam autor.

PAWEŁ HERTZ. NOCNA MUZYKA. Nakładem Instytutu wyd. „Sfinks”. Warszawa 1935. Str. 23 i 1 nl.

Najzupełniej młodzieńcze wiersze. Tak młodzieńcze, że nie spotykamy w nich ani odrobinki istotnych przeżyć poety, chyba, że za przeżycia uważać grę rozmarzonej wyobraźni autora. Są to sentymentalne pejzaże, obrazki naszkicowane według właściwego pocie schematu marzeń: cienie nocy, zielona woda, elegijny most, coś z ruin, zresztą może stylowa budowla, park i bukszpanowy flet. Jest to kategoria marzeń na jawie, tych marzeń, które u poetów skupiają się w dźwięku słowa, możnaby powiedzieć, w wizji słowa. Ale taka wizja, przedstawiona przez poetę w postaci rzeczywistości, pozostawia tylko wrażenie pięknej gry słów, szumu dźwięków, w danej chwili odpowiadających pocie. I to jest literackością, — wyższego rzędu — jak u Hertza — jeżeli zespół słów nie jest utarty, ale zawsze to literackość. Lecz „większa” młodość tych wierszy jest równocześnie ich legitymacją i pewną racją bytu, — pochodzą z okresu, w którym tego

rodzaju marzenia są czemś najzupełniej naturalnem. I tę naturalność odczuwa się, to też te ciepłarniane ballady, bo liryką tych wierszy nazwać nie można, posiadają świeżość, uprawniającą do publikacji. Ale nie dają jeszcze żadnego pojęcia o poecie przyszłym. Raczej nasuwają obawę, by jego początkowe pięknoduchostwo nie okazało się zjawiskiem trwałem.

ANTONI OLCZA. PRZED ŚWITEM. Poezje. Biblioteka „Nowej wsi“, nr. 1. Naprawa 1935. Str. 31 i 1 nl.

Antoni Olcha, redaktor nieistniejącego już czasopisma „Wiesz jej pieśń“, pochodzi z tej Naprawy, którą opisał w słynnej powieści Jalu Kurek. Kurek przedstawił Naprawę w postaci podgórze śpiącego w nędzy i bierności, autentyczny przedstawiciel Naprawy daje dokument stwierdzający, że młoda wieś polska jest raczej wulkanem czynnym. Wiersze Olchy są rewolucyjno-pionierskie. Ambicja pionierska młodego poety każe mu spłacać najróżnorodniejsze zagadnienia w jeden węzeł poetycki, jakby pionierskie prawo początku nie uznawało podziału pracy. Olcha jest równocześnie historjografem, społecznikiem, agitatorom i artystą. Dlatego wiersze jego są jeszcze magmą. Poemat „Z twardych dłoni“ jest poetyckim wyrazem prądów rewizjonistycznych napierających od dołu na historję, jakby w przeczuciu sensacyjnych przewartościowań. Nie szkodzi, gdy poeci prowokują historyków, ale poemat „Z twardych dłoni“ jest słaby. O wiele lepiej przedstawia się cykl drugi — o liryce, smutku i młodości. Wyróżnia się zwłaszcza piękny „Poemat“, dobrze świadczący o możliwościach artystycznych Olchy. Narazie jednak rozwojowi tych możliwości przeszkadza nieuznawanie prawa selekcji. Pozatem widoczne bardzo silne poddawanie się wzorom Czuchnowskiego.

LEON PASTERNAK. NAPRZECIW. Poezje. Nakładem wydawnictwa „Biblijon“. Warszawa 1935. Str. 39 i 1 nl.

Jest to nowy okaz niewłaściwie pojętej, a może samozwańczej poezji proletarjackiej. Pospolity błąd niemal wszystkich wierszopisarzy naszych, poszukujących krzepy proletarjackiej: odwoływanie się do Manifestu, werśety z Marksa, ukłon w stronę Sowietów mają oznaczać proletarjackość. Wiadomo, że nawet w Sowietach już to „nadojeło“. Jest to najzwyczajsza tromtadracja, jakaś rymowana publicystyka lub szablonowa gadanina pseudo-poety. Od rzekomych poematów, w których są najróżnorodniejsze historje a mało poezji, znacznie różnią się dwa pierwsze wiersze zbioru, wskazujące, że przy poważniejszej dyscyplinie Pasternak mógłby być poetą.

HENRYK PRAWDZIC. SŁOWA CZARNE I CZERWONE. Warszawa 1934. F. Hoesicka. Str. 37 i 3 nl.

Wydając drukłem te wiersze pod firmą Hoesicka, autor, widocznie pozbawiony zwłazku z zagadnieniami wierszopisarstwa, zapewne nie wiedział, jak nikłą wartość posiadają jego próby. Nikt go, niestety, nie chciał wyprowadzić z błędu. Wszystkie wiersze są bezwartościowe, nawet zgrabnie zestawione sonety krzemienieckie. Pewną poezję w stanie bardzo surowym, można zauważyć tylko w wierszu „Strach“.

STANISŁAW CZERNIK.

STANISŁAW WYGODZKI. CHLEB POWSZEDNI. Kraków 1934 str. 60.

Poezje Wygodzkiego są tak przesycone wpływami współczesnych poetów, zresztą najlepszych — Staffa, Leśmiana, Tuwima, Słonimskiego i Broniewskiego, że z trudnością daje się odcyfrować własną twarz poety. Poza tym Wygodzki tam, gdzie chce zrobić rytmikę nieregularną, gubi niejednokrotnie rytm całego wiersza. Trudno mi orzec, czy robi to świadomie, czy też nie zdaje sobie z tego sprawy — w każdym razie to niedomaganie daje się zauważyć w bardzo wielu jego wierszach.

Cykl pod tytułem „Ręce“, dobry w zamierzeniu, w wykonaniu jest słaby, pomimo jednak wad i niedociągnięć jest w nim głębsza myśl i ciekawe ujęcie przedmiotu. Niektóre z wierszy o współczesnych Niemczech są raczej publicystyką niż poezją („Berlin“, „Palenie książek“, „Obrońcom Republiki“). Dłuższy utwór „Pancernik Patiomkin“ byłby zupełnie udatny, gdyby nie to, że jest echem Majakowskiego i Słonimskiego, i to zarówno w ujęciu treści, jak w wykonaniu.

Niektóre z wierszy jak „Szafa“, „Gramatyka“, „Chleb Powszedni“, są nieciekawe i poprostu nudne, a jednak... jednak Wygodzki posiada talent, o czym świadczy prawdziwie świetny wiersz: „Ballada o niemieckiej rodzinie“. I dlatego mniemamy, że dalsze tomiki poety, gdy otrząśnie się z nadmiernego ulegania wpływom wzorów — przyznajemy świetnych — mogą dać rzeczy dobre i odświeżające prawdziwą twarz autora. Przeglądająca z większością wierszy idea szlachetnego pacyfizmu ujmuje każdego kulturalnego i myślącego człowieka za serce.

i.

W PRACOWNIACH POETÓW

Mieczysław Jastrun pisze: Świeżo wydałem tom („Nieostygłe dzieje“). Powiedzieć: pracuję nad nowym zbiorem, byłoby nieścistością. Wiersze powstają w miarę życia i na miarę jego. Czy i kiedy wydam zbiór następny, nie mogę określić.

Stanisław Piętak zamierza wydać wkrótce nowy tom poezji. W skład zbioru weszłyby wiersze o charakterze lirycznym i epickim, oraz fragmenty wyznań poetyckich, napisanych jeszcze w 1932 r. Tytuł: „Igły i wieńce“.

Stanisław Młodożeniec opracował widowisko p.t. „Wiatry“, z którego umieściliśmy fragment. Widowisko to obrazuje walkę budzącej się młodej wsi z figurami starego reżymu, występującymi w osobach Dziedzica, Plebana i Pachciarza, którzy przeciw temu ruchowi mobilizują „pańszczyźniaków“, stawiając na ich czele łasego na wójtostwo Lichota. Młodzi, zasłuchani w akordy porwijącego ich do walki Wiatra (człowiek i mit jednocześnie), zwyciężają. Widowisko kończy się manifestem, zapowiadającym konkretną pracę, jaką podejmą młode gromady wiejskie. W dramacie kojarzą się najrozmaitsze elementy: realistyczny z mitycznym, poważny z groteskowym, społeczny z miłosnym. Obok muzycznego motywu Wiatru idzie wtór chłopskiego prania. St. Młodożeniec napisał jeszcze inny dramat oparty na motywach chłopskich „Herodów“. Jest to widowisko w trzech

aktach z 4-ma Interludjami, oparte także na temacie społecznym. Autor zapowiada w niem triumf połączonych sił chłopskich i robotniczych nad światem „elity”. „Heród” był już wystawiony w warszawskim teatrze „Comœdia” ze słabym dla niego skutkiem, gdyż był 1) kiepsko grany, 2) prasa przemilczała go, nie dając recenzyj. Autor napisał również scenariusz do baletu „Wanda”. Muzykę będzie komponował Jan Maklakiewicz. Wśród dalszych projektów — cykl widowisk teatralnych, związanych z pewnemi formami tradycyjnego teatru chłopskiego.

Kazimiera Alberti, po wydaniu „Kalinowej godziny”, przygotowuje tom „Usta Italji”.

Stanisław Bąkowski napisał nowy poemat „Gwiazdozbiór lilij” (fantazja poetycka).

Antoni Bogusławski tłumaczy poetów chorwackich, m. in. Mirosława Krleżę, który podczas bytności w Warszawie poznał i zaaprobował wymienione przekłady. Autor wydał obecnie zbiór oryginalnych pieśni, przeznaczonych dla wojska p. t. „Dobosz Grześ”.

Ignacy Fik opracował poemat „Zieleń”.

Franciszek Lipiński, poeta krakowski, wyda wkrótce obszerny tom wierszy „Cherubinowy lament”. Równocześnie z tym zbiorem ukaże się poemat o Paderewskim („Symfonia prometejska”). Autor zapowiada również tom wierszy „kolejowych” — „W szumie ekspresów”, a jesienią zamierza ogłosić cykl regionalny, pieniński („Wysłuchany w ziemię i niebo”).

Paweł Hertz zapowiada tom przekładów z liryki niemieckiej.

Eugenjusz Żytomirski, po wydaniu drugiego tomu wierszy „Do przyjaciela”, przygotowuje wiersze regionalne „Pejzaże augustowskie”.

Janusz A. Rymcza, autor wydanych w r. 1932 „Zbudzonych orłów”, wydał w Krakowie nowy tom poezji „Purpurowa sonata”.

Leonard Turkowski, młody poeta poznański, wydał w Bibliotece Wici Wielkopolskich tom wierszy „Krzyż na rozdrożu”. Przedmowę napisał Jan Sztudynger, w ten sposób charakteryzując debjut: Wiersze są twarde i chropawe, jak on. Dosadne, trafne i zuchwałe, jak on. Czuć w nich rogatą duszę. Nie przebiegają w słowach. Są częstokroć nieporadne w swej buńczuczności i zielone w pozle na dojrzałość. Nakładem poznańskiego „Głosu” wychodzi drugi tomik „Głód”, który będzie zawierał utwory, oparte na prawdziwych przeżyciach.

Florjan Jernas, poeta poznański, przygotował debjut p. t. „Książyc nad Poznaniem”. Książkę wydaje oficyna Andrzeja Prądyńskiego we Wrześni, jako tom dziewiąty „Biblioteki Wici Wielkopolskich”.

Stanisława Sznaper, poetka warszawska, debjutowała opowieścią w wierszach p. t. „W stronę życia”.

POEZJA W CZASOPISMACH

Wznowlony „Skamander” znaczną część pierwszego zeszytu poświęca poezji. Leopold Staff otwiera numer wspaniałym wierszem „Złe przykazania” którego pierwsza strofa szczególnie jest sugestywna:

Trudny i twardy będzie, poeto, twój urząd
Czuwania w śnie o brzasku,
A ślad twój tak nietrwały, jak trop ptasich nóg
Na lotnym, wietrznym piasku.

Pewną sensacją jest wiersz milczącego oddawna Jana Lechonia, p. t. „Don Juan”. Kończy się tak:

Ponad wino, dźwięk gitary
Wolę płaszczą Twego gest.
Oto czekam Twojej kary,
Abym wiedział, żeś Ty jest.

Pozatem utwory Leśmiana, Łobodowskiego, Miłosza, Zegadłowicza, Hemara, Tuwima, Broniewskiego, Iwaszkiewicza, Słonimskiego, Karpińskiego, Bąka, Balińskiego, Hollendra i Jasnorzewskiej, mimo szeregu nowych nazwisk, naogół utrzymują atmosferę dawnego „Skamandra”. Artykuł K. W. Zawodzińskiego „Pegaz, to nie samochód bezkołowy” w częściach, poświęconych awangardzie, jest szczególnie wojowniczy, niewybredny w dziennikarskich raczej dowcipach, apodyktyczny w nieuzasadnionych sądach, nie daje ostatecznie materiału do dyskusji. Każdy poeta z zainteresowaniem przeczyta artykuł Boya - Żeleńskiego „Proza, wiersz i przekłady”.

Majowy zeszyt „Skamandra” odznacza się wprowadzeniem nowej partji młodych: Pawła Herta, Ryszarda Matuszewskiego, Adolfa Sowińskiego i Elżbiety Szemplińskiej.

Nr. 7 „Kamieny” przyniósł ciekawe wiersze Przybosia, Napierskiego i Timofiejewa, oraz przekłady Jaworskiego z poezji białoruskiej, Weleżyńskiej — z serbo - łużyckiej, Arnsztajnowej i Helsztyńskiego — z angielskiej.

„Środy wileńskie”, nowy kwartalnik wileński, przynosi wiersze Arcimowicza, Bujnickiego, Gałczyńskiego, Łopalewskiego, Miłosza, Maślińskiego, Putramenta, Rymkiewicza, i Zagórskiego. Artykuł Maślińskiego „Ewolucje awangardy” jest rzutem oka na działalność żagarystów. Charakteryzuje obecny stan awangardy wileńskiej: „Panoszy się w chwili obecnej niesamowity, pomyłony kult wszelakiego epigonizmu i epigonów. Znowu samodzielna myśl artystyczna wystawiona jest na próbę. Fakt, że w epoce tak świetnego rozwoju powieści są ludzie, którzy chcieliby jeszcze epickości rymowanej, dają miarę chaosu pojęć”. Ostatnie zdanie jest zupełnie nieuzasadnione. Raczej wypadałoby wnioskować przeciwnie, i tak nakazuje obecny rytm ewolucyjny poezji polskiej, która właśnie silnie nachyla się ku epice, i przez epikę zdążyła do uporządkowania liryki. Słusznie natomiast nawołuje autor, by „przetrzeć bagaż sądów estetycznych drogą systematycznych studjów”. I dalej: „Jeżeli ta praca nie zostanie dokonana przez nas samych, utalentowani przedstawiciele dzisiejszej młodej poezji polskiej

będą ostatniem pokoleniem twórców epoki bez stylu, w której żyjemy, ale której — rozum to mówi — na bliski koniec już się zbiera”.

W kwietniowym zeszycie „Wici Wielkopolskich” spotykamy sylwetkę poetki z nad Proсны, Stanisławy Miłkowskiej-Iwańskiej, oraz wiersze młodych poetów wielkopolskich — Kołodziejczyka, Jernasa, Buderawskiej i Turkowskiego.

W kwietniowych numerach „Zetu” — fragmenty utworów dramatycznych nagrodzonych na konkursie prezydenta m. Krakowa na sztukę o legjonach: Marjana Niżyńskiego „Trzy mgły” i Jerzego Brauna „Dni Konradowe”. W nr. 3 (75) ciekawe wiersze Bronisława Ludwika Michalskiego.

W tygodnikach: nr. 16 „Wiadomości Literackich” przyniósł cykl wierszy Leopolda Staffa. W nr. 17 interesujący reportaż poetycki Adama Galisa „Wspomnienie z odwiedzin u Wittlina”, W nr. 14 „Pionu” zwraca uwagę entuzjastyczna recenzja Zawodźńskiego z „Okna bez krat” Słonimskiego pod charakterystycznym tytułem „Poeta naprawdę”, w nr. 16 bardzo interesująca recenzja Sebyły z „Solo fletowego” Kołonieckiego. Wiersze Żytomirskiego i Sebyły.

Dobrze przyczynia się do rozbudzenia zainteresowań poetyckich „Na szerokim świecie”, dając stałą kolumnę „Antena poetów”. Ostatnio widzieliśmy tam sielskie poematy Czechowicza, wiersze Swieżawskiego, Gałczyńskiego, Czernika, Frasiaka, Demczyka i inn.

W nr. 16 „Prosto z mostu” wiersz Piechala „Wróżby wiosenne”. Janty - Połczyńskiego „Puszcza” wyróżnia się autentyczną egzotyką.

NOTY

DWIE BALLADY Juljana Przybosia, umieszczone w tym zeszycie, pochodzą z dawniejszego okresu twórczości poety, mianowicie z okresu „Sponad”.

ADOLF GAJDOSZ, znakomity tłumacz poetów polskich na język czeski, wypróbowany przyjaciel kultury polskiej, nadesłał nam poemat p. t.: „Dopis do Polski”. Poemat ten jest wyrazem entuzjastycznego ustosunkowania się poety czeskiego do Polski.

RECENZJE z książek nadesłanych zamieścimy w następnych numerach „Okolicy Poetów”. Nadesłane czasopisma będą omawiane w stałym dziale „Poezja w czasopismach”.

KORESPONDENCJA.

- A. K. w Radziwiłowie. Projekt Pana ciekawy. Może zastosujemy w przyszłości.
- E. B. w Warszawie. Dlaczego przysyła nam Pan aż tak stare próby, z r. 1924? Nie skorzystamy.
- J. A. R. w Krakowie. Tom Pana ukazuje się wcześniej, niż nasz numer, nie możemy więc przedrukowywać
- W. S. w Warszawie. Mandelsztama zużytkujemy. Puszkina — za długi. Prosimy o utwory oryginalne.
- C. J. w Równem. Zatrzymujemy.
- E. Ż. w Augustowie. W przyszłości damy w kolumnie francuskiej.
- A. B. w Krakowie. Chętnie, proszę o nowy materiał do przejrzania.
- W. M. w Warszawie. Jeden wiersz w następnym numerze
- S. P. w Warszawie. Musiałem fragment przesunąć do jednego z dalszych numerów.
- TYRS. Nie możemy skorzystać, ale chętnie poznamy inne wiersze.
- J. K. w Starachowicach Dziękujemy za dobre słowa. Otrzyma Pan od nas upominek.
- K. P. w Poznaniu. Włączamy do teki „Do St. M.” i przekład z angielskiego.
- Z. J. w Warszawie. Skorzystamy.

DO WSZYSTKICH KORESPONDENTÓW I PRZYJACIÓŁ „OKOLICY POETÓW”. Prosimy o rozpowszechnianie „Okolicy Poetów”, zjednywanie prenumeratorów i notaty w prasie. Dziękujemy tym, którzy referowali o nas w prasie i w radjo.

Niektóre koncerty prasowe celowo i złośliwie nie dopuszczają wzmianek o „Okolicy”. Prosimy kolegów, pracujących w redakcjach pism, o podawanie informacji o „Okolicy” i wskazywanie naszego adresu.

„Okolica Poetów” będzie mogła odpowiednio spełniać swe zadania, gdy każdy poeta i miłośnik poezji spełni obowiązek prenumeratora. Prosimy o tem nie zapominać. Chcemy stopniowo zwiększać objętość pisma.

REDAKTOR i WYDAWCA: STANISŁAW CZERNIK

Ostrzeszów Wlkp., Poprzeczna 2.

ADMINISTRACJA: Ostrzeszów, Zamkowa 4.

Prenumerata roczna 8 zł, półroczna 4 zł.

Kwartalna 2 zł. Numer pojedynczy 75 gr.

Odbito w drukarni „Gazety Ostrzeszowskiej” w Ostrzeszowie

„Okolica Poetów” jest wspólnym dobrem wszystkich poetów i miłośników poezji. Należy prenumerować „Okolicę Poetów”. Bezpłatnie nie będziemy wysyłać nikomu. Nabywać można tylko w Administracji „Okolicy Poetów” nie będzie w sprzedaży kioskowej. Numery pojedyncze wysyłamy po otrzymaniu znaczków za 75 gr. Prenumeratę roczną 8 zł., półroczną 4 zł., kwartalną 2 zł. należy wpłacać zwyczajnym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim). Administracja: Ostrzeszów Wlkp. Zamkowa 4.